

Planalto 2018

14 marca 2018

W 2018 roku w co najmniej trzech krajach będą miały miejsce wybory, których znaczenie wybiegnie daleko poza tych krajów granice. O ile w Rosji raczej nie będzie niespodzianek, to wyniki wyborów we Włoszech (parlamentarne) i w Brazylii (prezydenckie, do Kongresu Narodowego i władz stanowych) są znacznie trudniejsze do przewidzenia. Sytuacja polityczna we Włoszech jest chaotyczna, młodzi mają zdecydowanie dość status quo, a system bankowy wisi na włosku. Od Włoch może się zacząć kolejna fala wstrząsów targających całą strefą euro (lub Unią Europejską w ogóle). Jednak największą enigmą tego roku są wybory w Brazylii, których rezultat może przesądzić o losach lewicy na całym kontynencie południowoamerykańskim na nie wiadomo jak długo.

Charles de Gaulle, już jako prezydent Francji, podobno powiedział kiedyś: „Brazylia to nie jest poważny kraj”. To było jednak dawno. Kilkanaście lat rządów Partido dos Trabalhadores Luli da Silvy wyprowadziła największy kraj Ameryki łacińskiej na pozycję regionalnego mocarstwa, niezwykle aktywnego i skutecznego na arenie międzynarodowej (BRICS, inicjatywy południowo- i latynoamerykańskie, intensyfikacja współpracy gospodarczej z Afryką i Bliskim Wschodem).

Administracje Luli (2003-2011) i jego następczyni Dilma Rousseff (2011-2016) nigdy nie zdołały wyjść poza neoliberalizm, poprzestając na polityce jego hamowania, buforowania i neutralizowania negatywnych konsekwencji, a także awansu Brazylii w globalnej strukturze władzy ekonomicznej. Jednak potężny (także militarnie) sąsiad z sercem po lewej stronie i determinacją, by prowadzić politykę międzynarodową asertywną wobec Waszyngtonu, utrzymywał nieformalny polityczny i ekonomiczny parasol ochronny również nad bardziej radykalnymi projektami politycznymi w mniejszych

krajach zachodniej półkuli (Wenezuela, Boliwia, Ekwador, Kuba), powstrzymując znacząco amerykańskie zapędy do ingerowania w politykę państw regionu. Jeśli w październiku 2018 urząd w Pałacu Planalto w Brasílii obejmie przedstawiciel neoliberalnej prawicy (jak to już się stało w Argentynie), może to się okazać katastrofą dla całej Ameryki Południowej. Jeżeli prezydentem zostanie jednak któryś z kandydatów lewicy, może się okazać, że „różowa fala” Ameryki Południowej nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

USUNIĘTY FAWORYT

Wyniki wyborów są trudne do przewidzenia nawet jak na standardy świata post-2016. Wszystko dlatego, że najpopularniejszy polityk w kraju, Lula da Silva (sondaże z ostatnich miesięcy dawały mu między 37% a 45% poparcia), najprawdopodobniej zostanie z możliwości udziału w nich wykluczony. Prawica, której udało się, w drodze parlamentarnego zamachu stanu dla niepoznaki nazywanego impeachmentem, usunąć z urzędu Dilmę Rousseff, zamierza – przy pomocy aparatu sprawiedliwości, który zbyt często jest z nią organicznie związany – za wszelką cenę wsadzić Lulę za kratki jeszcze przed wyborami. Sąd kolejnej instancji potwierdził wyrok dziesięciu lat więzienia dla byłego prezydenta (za rzekomą korupcję), i choć dostępna Luli droga apelacji nie została jeszcze wyczerpana, polityczny charakter tych wyroków nie zostawia zbyt wiele nadziei. A prawica ma w zanadrzu jeszcze inne postępowania przeciwko Luli.

Na rozdrobnionej scenie politycznej Brazylii, na której kotłuje się ponad dwadzieścia partii politycznych o nazwach często pozbawionych związku z ich faktycznym profilem ideowym („socjaldemokracja” jest, na ten przykład, centroprawicowa), usunięcie najpopularniejszego kandydata powoduje, że przewidzenie wyniku jest niemal zupełnie niemożliwe.

Mówi się, że gdyby prawicy udało się wsadzić Lulę przed wyborami do więzienia, PT w ostatniej chwili wystawi na jego

miejsce byłego burmistrza São Paulo Fernando Haddada. Haddad wywodzi się z ogromnej społeczności paulistanos pochodzenia libańskiego i był burmistrzem największego miasta południowej półkuli w okresie brutalnie tłumionych przez policję protestów w roku 2013. Nie on był za brutalność policji odpowiedzialny – w kraju, w którym jest ona formacją militarną, rozkazy wydał prawicowy gubernator stanu São Paulo – ale pamięć o tych wydarzeniach na pewno nie zapewni Haddadowi popularności na miarę Luli. Jego potencjalna kandydatura jest jednak zupełnie nieoficjalna; PT idzie w zaparte – jej kandydatem pozostaje niezmiennie Lula.

NEOLIBERAŁ, RASISTA, PAJAC

Trudno sobie wyobrazić, że urzędujący obecnie prezydent Michel Temer (neoliberalna prawica) stanie do wyborów. W zasadzie wisi nad nim wciąż sądowy zakaz startu, wydany na osiem lat, za nieprawidłowości w finansowaniu ostatniej kampanii. Na urząd nie został wybrany w żadnych wyborach, wstąpił na niego drogą automatycznej procedury po impeachmentie Dilmy Rousseff. Wcale nie wykluczone, że oligarchowie wymyśliliby jednak jakąś sztuczkę prawną, żeby umożliwić mu kandydowanie, tak jak impeachmentu prezydentury Rousseff dokonali, pomimo iż nie udowodniono jej żadnego deliktu konstytucyjnego.

Jednak jego prezydentura, upływająca pod znakiem zamrożenia programów społecznych odziedziczonych po PT i wyprzedaży zasobów państwowych, cieszy się rekordowo niskim poparciem – jedynie 2 proc. Dla porównania Lula zamknął swoją drugą kadencję poparciem w okolicach 90 proc. Większość Brazylijczyków najchętniej widziałaby Temera w więzieniu, ale jego koledzy w niższej izbie parlamentu, póki co, ochronili go przed kryminalną odpowiedzialnością za korupcję.

Najpopularniejszym spośród pozostałych kandydatów jest skrajnie konserwatywny demagog Jair Bolsonaro. Jego występy upstrzone są ostentacyjną homofobią, mizoginią i rasizmem, a także pochwałami dyktatury wojskowej z lat 1964-84. Głosując

za impeachmentem Rousseff w 2016, Bolsonaro zadedykował swój głos tym, którzy ją w czasie dyktatury torturowali (była wtedy w szeregach radykalnej marksistowskiej guerilli). Bolsonaro ma też jednak w sondażach najwięcej opinii kategorycznie go odrzucających – w drugiej turze ta część Brazylijczyków będzie pewnie głosować na zasadzie „każdy, byle nie Bolsonaro”.

Problem w tym, że tym każdym może się okazać zupełny pajac. Luciano Huck, biznesmen i gwiazdor potężnej prywatnej sieci telewizyjnej Globo, tej samej, która wspierała zamach stanu w 1964 i prowadziła aktywną kampanię niszczenia Dilmy Rousseff. Człowiek bez doświadczenia politycznego, gospodarz sobotniego rozrywkowego programu. Jego kandydatura nie jest jeszcze oficjalna, ale dużo się o niej mówi. Huck nie ma żadnego profilu politycznego, jego program telewizyjny jest z gatunku tych „o niczym”, ale partiom centroprawicy zdesperowanej tym, że nie potrafi wystawić wystarczająco popularnego „poważnego” kandydata, mógłby zaoferować swoją ogromną popularność i rozpoznawalność. Głosować może na niego jego telewizyjna publiczność, jak również Brazylijczycy zniechęceni do swojej klasy politycznej w ogóle (jego brak doświadczenia może się dla nich okazać zaletą).

Inni liczący się kandydaci? Marina Silva, była ministra środowiska za pierwszej kadencji Luli, wywodzi się ze społeczności Brazylijczyków pochodzenia afrykańskiego; kandydowała już na najwyższy urząd w 2010 i 2014. Kandydatem lewicowej Demokratycznej Partii Pracy jest Ciro Gomes. Nie są wystarczająco popularni, ale poparcie może im wzrosnąć, jeśli Lula zostanie ostatecznie wyeliminowany. Z ugrupowań na lewo od PT, Partia Socjalizmu i Wolności (PSOL) może wystawić Guilherme Boulosa. Centroprawicowa Partia Brazylijskiej Socjaldemokracji (PSDB) chce wystawić Geraldo Alckmina, gubernatora stanu São Paulo (to on urzędował już wtedy, gdy Fernando Haddad był burmistrzem stołecznego miasta tego stanu).

W sumie kandydatów w wyborach prezydenckich może startować

blisko dwudziestu.

ZEWSZĄD PRZESZKODY DLA LEWICY

Brazylia zajmuje drugie (po USA) miejsce pod względem całkowitych kosztów pochłanianych za każdym razem przez kampanie wyborcze, stąd tak łatwo o przewagę kandydatom popieranym przez wielki kapitał lokalny i transnarodowy. Wszystkie wielkie media znajdują się w ręku pięciu spośród najzamożniejszych rodzin w kraju i zawsze prowadziły bezlitosną kampanię przeciwko najpopularniejszym kandydatom lewicy. Media publiczne w europejskim sensie tego słowa, które miałyby obowiązek oddawania minimum formalnej sprawiedliwości (pod postacią choćby czasu antenowego) różnym partiom politycznym, w Brazylii nie istnieją.

Brazylijski ustrój polityczny jest kombinacją silnej administracji prezydenckiej à l'américaine i ordynacji proporcjonalnej na wzór europejski w Kongresie Narodowym. Przy ogromnej ilości partii politycznych, z których wiele nie powstało wokół żadnej politycznej wizji, a jako kliki karierowiczów połączone jedynie pragnieniem wspinania się po drabinie aparatu państwa, pozornie silna administracja prezydencka zmuszona jest do organizowania karkołomnych, zwykle krótkotrwałych koalicji, by przeprowadzić każdą znaczącą zmianę.

Brazylia jest republiką federacyjną, która przyznaje poszczególnym stanom określoną liczbę reprezentantów w obydwu izbach Kongresu. Ich proporcje od dawna jednak nie odzwierciedlają przemian demograficznych kraju. Słabo zaludnione, najbardziej zacofane ekonomicznie stany z największą koncentracją własności ziemskiej w rękach nielicznych rodzin są najbardziej nadreprezentowane w Kongresie, kosztem najludniejszych stanów południowych o znacznie bardziej postępowej strukturze elektoratu i większym dostępie do maszyny wyborczej dla kandydatów bez wsparcia wielkiej własności ziemskiej. Połączone, wszystkie te czynniki

stanowią ogromną barierę dla postępowej polityki w Brazylii i doskonałą strukturę zabezpieczającą długofalowo interesy oligarchów.

W piątek 16 lutego prezydent Temer ogłosił, że przekazuje kontrolę nad bezpieczeństwem w Rio de Janeiro bezpośrednio wojsku – to pierwsza taka sytuacja, odkąd wojskowi oddali władzę w latach 80. XX wieku. Decyzja ta pociągnęła za sobą natychmiastową rezygnację z urzędu gubernatora stanu Rio de Janeiro. Oficjalnym powodem są dramatyczne statystyki przestępczości, zwłaszcza tej najbardziej brutalnej, z użyciem broni, w połączeniu z okresem największego ruchu turystycznego w Rio de Janeiro (Karnawał). Jest jednak mało prawdopodobne, że wojsko na ulicach poprawi bezpieczeństwo, sytuacja może się równie dobrze przekształcić w regularną wojnę z gangami narkotykowymi w fawelach. Ten stan wyjątkowy prezydent Temer ogłosił na czas nawet do końca roku. Jest to niepokojący sygnał w kraju z taką historią militarnej interwencji w politykę. Trudno nie zadawać sobie pytania, czy oligarchowie nie testują możliwości lub po prostu nie przygotowują się do użycia siły w okresie okołowyborczym.

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Źródło: Strajk.eu